NUMER 12. LWÓW, DNIA 1. SIERPNIA 1904. ROK I.

PROMYK

Prenumerata wraz z przysyłką wynosi:
w Austryi rocznie 2 K, półrocznie 1 K, kwartalnie 50 hal.
W Królestwie 2 ruble.
W Niemczech 2 marki.
We Francyi i w Szwajcaryi 3 franki.
W Ameryce pół dolara.

Numer pojedynczy 10 halerzy.



Pismo ilustrowane dla młodzieży i dzieci.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, Miłkowskiego 11.

AGOT GJEMS SELMER.

Na dalekiej północy.

(Z duńskiego.)

Lato, lato! Jakże to słowo brzmi! Zdaje się, jakby wszystko wokoło śmiało się i radowało na jego odgłos. Kwiaty, ludzie i zwierzęta są jakoby im skrzydła urosły, by w dziękczynnej radości wznieść się mogły ku niebu.



Zdaje się, że cały świat wypiękniał odrazu, stał się olbrzymią, błękitną salą o podniebnem sklepieniu; przy dźwiękach kwitnących dzwonków suną ludzie niby w tańcu po przez łany okryte białem, czerwonem i niebieskiem kwieciem, tak pięknem, że prawie żal nam stąpać po nich.

Chciałabym wiedzieć, czy jest kto jeszcze na świecie, który tak strasznie tęskni do lata jak my tu na dalekiej północy.

W lutym mawia matula: „Ach! dziateczki, żebyśmy tylko marzec przetrwali jeszcze, to będziemy mieli w tym roku najgorsze za sobą; wtedy już wiosna zacznie się zbliżać, o co najważniejsze — będzie jasno.

Marzec jest jednak dla nas długim i ciężkim miesiącem. Wicher wschodni od lądu, w tym czasie szalenie mroźny, stacza ciężkie walki z wiatrem z zachodu. Każdy chce zapanować nad krajem.

Wiatr zachodni niesie od morza zamieć śnieżną i łagodniejsze powietrze.

Nocą huczy we fjordzie! Cóż to za straszne głosy odzywają się raz po raz jak huk armat.

Któż zdolny opisać te wycia, jakie wicher lądowy z siebie wydobywa?

Następnego dnia nie ma nawet mowy o ślizgawce lub jeździe na ski. Śnieg leży w twardych zbitych bryłach. — Rzeczywiście wicher wschodni zniszczył nam niejedną dobrze wygładzoną ślizgawkę, a taki wtedy mróz szalony, że człowiek wzdryga się nosa za drzwi wystawić. Takim jest

marzec, nie bardzo wiosennym miesiącem. — Następuje nareszcie kwiecień! Co prawda to i on nie przynosi nam wielkiej pociechy. Od czasu do czasu kapie wprawdzie trochę z dachu w południe, gdy słońce przygrzewa, ale w nocy marznie porządnie, a pod wieczór mamy najwspanialszą ślizgawkę po zmarzniętej skorupie śniegu. Często można się ślizgać i we dnie, a śnieg nie stopi się przez cały dzień nawet o jeden centymeter. Matka wzdycha w cichości, gdy nikt nie słyszy, i co dnia zagląda czy nie okazują się z pod śniegu najwyższe kończyny sztachetów ogrodowych. Ale gdzież tam... ani śladu...

„Jakoś pomału śnieg topnieje tego roku“ powiada ojciec i nasadza okulary w nadziei, że tak może lepiej zobaczy, czy śnieg spadł. „Czy pokaże się wnet już ziemia?“ — pyta mały nasz braciszek, który na wzgórku przed domem bawi się saneczkami. Przed schodami taje najprędzej, i gdy tylko widać tam trochę piasku, panuje u nas ogromna radość, bawimy się w kopanie stawków, na które puszczamy malutkie łodzie.

Tak wytrzymujemy do maja! Ach! teraz słyszymy o tem, że na południu kwitną pierwiosnki, puszczają grusze, że świat tam zieleni się i pięknieje, ale u nas śnieg leży ciągle jeszcze na łąkach i polach — słońce już wnet świecić nam będzie dniem i nocą — pełno światła i śniegu, a nad śniegiem bujają motylki — aż oczy bolą od tej lśniącej białości. Tordis urządza sobie rano, przed pójściem do szkoły, jazdę na ski, droga jest wspaniałą. Od góry, od skraju lasu, aż do wybrzeża mknie żwawo i gładko.

Nareszcie okazują się nad śniegiem koniuszki sztachetów ogrodowych i zaczyna się dla nas czas śmiałych zakładów, o to jak szybko śnieg teraz tajać będzie. W tym roku jednak taje bardzo powoli. Większy kawał sztachetów nie ukazuje się, z dnia na dzień prawie nie widać różnicy. Teraz nie trzeba tracić otuchy, a jednak wyznaję, że wszyscy duży i mali opuszczamy głowy.

Pęki na drzewach są już duże i mogłyby rozwinąć się, ale cóż z tego, jeżeli śnieg nie chce ustąpić.

Nareszcie nastaje czerwiec. Wszędzie leży jeszcze śnieg. na polach, w rowach, ziemia cała nim zasłana, tylko gdzieniegdzie jest warstwa śniegu cieńsza, ziemia przeziera jak bronzowa smuga.

Powiedźcie, czy nie żałujecie nas choć trochę, że tak bardzo pragnąc lata, musimy jeszcze w czerwcu brnąć w śniegu? Ale nie wolno nam tracić otuchy, musimy być wytrwali i silni.

Matula musi zebrać siły i nam wszystkim dodawać otuchy i choćby była nie wiedzieć jak smutną, nie śmie okazać tego, bo jak już ona traci odwagę, wtedy wszystko w domu słabnie.

Siedmnastego czerwca poczęła wyłaniać się na dole, na południu, lśniąca, błękitna smuga, była to jakby szeroka wstęga niebieska, która wyglądała z poza ciężkiej zasłony chmur i do około całego horyzontu niebo z ziemią łączyła. Matka nasza zauważyła to, ale nie śmiała nam pokazać, obawiała się nowych rozczarowań dla tych, którzy byli jej drodzy.

Ale nazajutrz cóż za radość! Jaki poranek! Jednym zamachem powróciło do nas lato w chwili. gdy omdlewaliśmy prawie z tęsknoty do cieplejszego promienia słonecznego. Lato przyszło. Było to w poranek niedzielny. Co za wspaniałe powietrze!

Słońce słało jasne, ciepłe promienie, tak ciepłe, że można było odrazu przewdziać letnie suknie. Co za święto! Jakże uroczo uśmiechał się w morzu promień słoneczny! Wszystko topniało, powietrze drżało radośnie.

Śnieg jakby zawstydził się tych wszystkich uśmiechów dookoła, uśmiechu nieba i ziemi i oczu ludzkich; opadł i znikł w ziemi. A na górze, na pastwisku wyłaniały się zielska wijące, tak że widziało się niemal, jak podrastają, roztaczają się, pną ku słońcu.

Fotografia.

— Prosto stać! — wołał Witold gromkim głosem, ustawiając chłopców w szereg.

Franek patrzał nieśmiało na brata swego przyjaciela i wykonywał każde jego zlecenie: „głowa do góry, wprzód, w bok, ręka w tył, w dół, noga w przód, w lewo“, jak szeregowiec rozkazów dowódcy; Adaś, śmielszy nieco stroił miny zucha, a Ludwiś, przyzwyczajony do musztry brata, nie robił sobie nic z niego. Skakał, gdy trzeba było stać spokojnie, klaskał w ręce i gadał bezustannie.

— Witoldzie! Witoldku! pokaż jak się w twoim aparacie maluje wszystko do góry nogami! — prosił Ludwiś.

Witold fotografował wiele i pokazywał mu często aparat. Chętnie też zgodził się na prośbę braciszka, by odfotografować go wspólnie z najlepszymi przyjaciółmi, Adasiem i Frankiem.

Gdy Witold zakrył głowę czarnem suknem, jak „prawdziwy“ fotograf, tłómaczył Ludwiś chłopcom: “patrzy, czy nas dobrze widać“.

— Skąd wiesz? — zapytał zdziwiony Franek.

— Znam się na tem! Tam jest taka szybka, mglista, biała, matowa, na której jesteśmy namalowani do góry nogami.

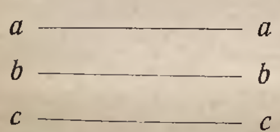
— Ślicznie się znasz na tem, kiedy mówisz, że jesteście namalowani na szybce — odezwał się Witold z pod sukna.. Teraz n. p. widzę na szybce, że ruszasz prawą ręką, teraz kichnąłeś, teraz odganiasz muchę, która usiadła ci na szyi

Ruszasz się urwiszu na szybce matowej, jak i w rzeczywistości, ani chwili spokojnie nie ustoisz! Ładna to będzie fotografia!

Namalowany! Paradnyś sobie, albo to namalowany obrazek rusza się, kicha, skacze? O malowaniu mowy nie ma! Wcale co innego oglądam w tej chwili. Oto patrzę na was. Jest dzień, jasno. Promienie światła padają na was, na wasze głowy, nosy, oczy, na wasze ręce i nogi, odbijają się od wszystkich części waszego ciała, od wszystkich przedmiotów, które stoją dokoła i dlatego widzę je i was widzę. I wy mnie widzicie dlatego, że promienie, które odbijają się o mnie, dochodzą do was.

Stańcie przed lustrem, nad wodą, przy szybie, przy metalowej płycie. O gładką ich powierzchnię, odbijają się wasze promienie i widzicie siebie w źwierciadle.

Coś podobnego i tu się dzieje. Promienie przechodzą przez soczewkę, którą widzicie z przodu. Jest to najważniejsza część aparatu. Przechodzą one przez takie małe, ciasne miejsce, że nie mogą prosto, równo do siebie iść, jak do źwierciadła, tylko jakby się wszystkie, niby w snopy, wiązały pośrodku. Narysuję to wam na piasku, a dla uproszczenia, przypuśćmy że zamiast tysięcy są tylko 3 promienie. Otóż promień *b* w pośrodku prosto idzie, jak w źwierciadle Promień *a* był na górze, a w dół się odgina. Promień *c* przeciwnie z dołu w górę idzie. Dlatego to obrazek, który powstaje za soczewką, jest odwrócony i teraz właśnie oglądam, jak stoicie do góry nogami, a i niebo mam u dołu, a trawnik u góry obrazka.



Promienie w źwierciadle.



Promienie w soczewce.

— Więc ten obrazek, za soczewką jest w powietrzu? — zauważył Adaś nieśmiało.

— Słusznie powiedziałeś! On jest w powietrzu. Gdzieś w powietrzu, za soczewką, promienie świetlne w obrazek się układają. Podstawiam szybkę matową i łapię go na szybkę. Dlatego mówimy, że za soczewką powstaje obrazek r z e c z y w i s t y i o d w r ó c o n y.

— A gdyby szybki nie było?

— Nie złapałbym obrazka i nie widziałbym go wcale — ale mimoto, on byłby gdzieś w powietrzu.

— Więc tylko szybka potrzebna do tego, by złapać i oglądać ten obrazek?

— Tak jest!

— Pocóż więc to czarne sukno?

— Poco sukno? A pocóż przykładasz sobie rękę w daszek nad oczy, ilekroć chcesz lepiej widzieć, a boczne światło razi cię i przeszkadza tobie? Dlatego właśnie ubieram to sukno na głowę, by zasłonić się od światła, które mnie razi i przeszkadza mi widzieć wyraźnie blady z natury obrazek na szybce matowej.

Aby oglądać taki obrazek, nie potrzeba zresztą ani aparatu fotograficznego, ani soczewki — wystarczy najzwyczajniejsze pudełko kartonowe, n. p. pudełko z papierosów. Zróbcie sobie dziureczkę szpilką na jednej ściance, zarzućcie na głowę coś ciemnego, aby wam światło nie zawadzało, przyłóżcie pudełko do oczu i patrzcie na przeciwną ściankę. Zobaczycie na niej maleńki obrazek. Promienie światła przedostały się przez dziurkę, ułożyły się w niej skośno, jak w soczewce i tworzą ten ładny obrazek.

Franek otwierał coraz szerzej zdziwione oczęta. Ludwiś patrzał nań z tryumfem, jak gdyby chciał mówić: „widzisz jakiego mam brata! jaki on mądry“, a Adasiowi śmiała się cała twarzyczka radością, że takich się ładnych rzeczy dowiedział.

— Jabym chciał — wołał Adaś rozradowany — schować sobie ten obrazek! Szkoda go, że zniknie! Ja bym wziął ołówek i rysował po obrazku na szybce — obrazek zniknie. a rysunek zostanie.

— Ja znów, fotografując, mam inny sposób na to.

— Jaki! — przerwał Adaś żywo.

— Gdy mi się obrazek na szybce podoba, gdy jest ładny i miły, wtedy wyjmuję tę szybkę matową i w jej miejsce wkładam drugą, zwaną p ł y t ą f o t o g r a f i c z n ą. Jest to szklana szybka, powleczona z jednej strony taką masą, która pod wpływem światła zmienia się i czernieje, gdy wykąpiemy ją w odpowiednim płynie.

To też trzeba bardzo uważać na to, by do płyty nie dostało się najlżejsze światło — trzymam ją zamkniętą w tej kasetce, a wyjąć mogę tylko po ciemku. Gdyby w kasetce była dziurka, choćby tak mała, jakby cienką szpilką zrobiona, już by się płyta popsuła.

Niechajno teraz obrazek z za soczewki na płytę padnie. Cóż się stanie?

Oto na całym obrazku najjaśniejsze jest niebo — najjaskrawsze światło od niego bije — aż razi oczy — więc oczywiście mocno płytę poczerni.

Buciki wasze są czarne — prawie że nie zmienią płyty — zostanie biała w tem miejscu.

Tak się to dziać będzie z wszystkimi przedmiotami na obrazku. Co jasne — będzie ciemne co ciemne — będzie jasne. Cały szereg kolorów będzie przewrócony, przeciwnie niż w rzeczywistości — dlatego obrazek taki na szybce nazywa się n e g a t y w e m czyli fotografią odwrotną.

Na negatywie będziecie mieli całkiem czarne twarze, jak murzyni afrykańscy, a włosy wasze będą białe jak mleko — niby zamienieliście się w staruszków.

— Proszę pana! — wtrącił Adaś nieśmiało — mam fotografię na której wcale na murzyna nie wyglądam...

— Poczekaj! poczekaj! — odparł Witold. Fotografia nie kończy się na negatywie! Fotograf ma papiery, które powleczone są też warstwą czułą na światło, jak płyta — ale inaczej przyrządzoną. Gdy papier taki zostawimy na oknie — zczernieje zupełnie w przeciągu kilku sekund. Papier ten przykrywam moim negatywem i wystawiam na światło.

Światło dojdzie do niego w tem miejscu, w którem negatyw był biały, lub jasno szary — miejsce, w którem negatyw był czarny pozostanie całkiem w cieniu.

Tak więc zciemnieją Wam prędko buty, ubranie i włosy na głowie — a twarz zostanie białą.

— Bardzo dobrze! bardzo dobrze! — zawołał uradowany Adaś. — Więc będę naprawdę biały?

— Będziesz, będziesz — zapewniał go Witold.

E. B. L.



EDMONDO DE AMICIS.

Wycieczka balonem.

(Z włoskiego.)

(Ciąg dalszy).

Jakaż rozkosz! Wzlatujemy zwolna — nie czuć tego prawie. Stoję między olbrzymem a panem Karolem i widzę wybladły profil jego, który wydaje mi się uosobieniem przerażenia. To mi dodaje odwagi! Jak długo patrzę w dal, na horyzont, który rozszerza się coraz bardziej, wszystko idzie jak należy. Ale popełniam nieostrożność: spoglądam w dół, pod łódkę — mierzę wzrokiem przestrzeń, która dzieli nas od ziemi. Przechylam się gwałtownym ruchem w tył — już za późno: dostałem zawrotu głowy.

Trwało to chwilkę tylko, ale chwilka wydała mi się wiekiem!

Wstyd się przyznać -- ogarnęła mnie chętka wtulenia się w głąb łodzi — chciałem pochylić głowę i zamknąć oczy.

W chwili tak strasznego zniechęcenia ujrzałem rękę pana Karola ściskającą kurczowo jedną z lin. Wszystkie mięśnie napęczniałe i drżące wskazywały w jakim okropnym stanie strachu i rozpaczy znajdował się pan Karol. Może czuł się już rozbitkiem? Ogarnęło mnie szczere współczucie — żal mi go było bardzo — i to właśnie uratowało mnie i dodało mi hartu. Nie mniej jednak pozostała we mnie jakaś niemoc fizyczna, dotychczas mi nieznana. Opisać jej nie zdołam: była to jakaś potrzeba siadania, uczucie samotności, dręcząca świadomość własnego ciężaru — jakiś strach przed uginaniem się drewna, na którem się opierałem.

— Jakie to nieprzyjemne! — powiedziała jedna z pań.

— Otóż to! — odrzekłem. Było to rzeczywiście wyrazem mego najgłębszego przekonania.

To dziwne! Zdawałoby się, że nic nie wiem o prawie fizycznem, na mocy którego wznosimy się, ani o maszynie, która nas nosi. Zdawało mi się, że porywa nas jakiś olbrzymi ptak drapieżny cichym, powolnym ruchem.

Łódka nie zdradzała najmniejszego poruszenia, ani sznury szmer najlżejszy: mógłbym przysiądz, że nie ruszamy się z miejsca.

— Nie będę nigdy aeronautą! — usłyszałem za sobą.

— Ani ja! — pomyślałem. Niechże mówią co chcą o morzu: to jest żywioł niepewny, nie można mu zaufać, ale czujecie przecież zawsze coś pod sobą, coś, co choćby częściowo opanować można; ale powietrze... Powietrze jest niczem! Nie! nigdy tego sportu uprawiać nie będę! jeżeli już sport jakiś wybrać muszę, po tysiąc razy wolę bicykiel! Wszelkie zwyczajne zwroty opisowe, jako to: „zdaje się ulatywać w nadziemskie wyżyny“, „ulecieć ponad ten padół płaczu“ i t. d. wydały mi się w tej chwili nędznym wybrykiem retoryki. Rzeczywiście nie sądziłem nigdy przedtem, że jestem tak serdecznie przywiązany do rodzinnej planety!

* * *

Pod nami rzeki przemieniały się w strumyki, kamienice w pudełka, ogrody w siatki, ludzie w owady, jak gdyby jakaś siła olbrzymia ściskała, skracała, porywała wszystko.

Jakiż dziwny widok: Genewa ozłocona słońcem, Arwa i Rodan osrebrzone, obszerna dolina zasiana wioskami i miastami, duży błękitny sierp jeziora Lemańskiego, zielone góry Jurajskie i szare skały Sabaudyi. Przecudny łańcuch Mont Blanc, bezmiar błękitu, zieleni i śniegów — widok którym tylko orzeł wzrok swój napawać może.

W tem olbrzymiem przestworzu, najbliżsi sąsiedzi moi zadawali sobie trud odszukania wysepki Roussa i pałacyku Voltaira. Inni dyskutowali nad granicami Francyi.

— Kapitan czyta gazetę — zauważył olbrzym.

Rzeczywiście! Kapitan czytał dziennik tak spokojnie, jak gdyby siedział w kawiarni, przy

stoliku! To spostrzeżenie zdawało się uspokajać nieco pana Karola, tak dalece, że począł się uśmiechać. Jeżeli kapitan czyta — nie ma żadnego niebezpieczeństwa!

Wtem rozległ się głos.

— Wiatr nas porywa w złą stronę!

Pan Karol przeraził się na nowo.

Rzeczywiście, podniósł się lekki wiaterek. Duża flaga szwajcarska, zatknięta na łodzi, poruszała się -- balon zboczył nieco ze swego kierunku, ale nie czuć było najmniejszego wstrząśnienia.

Pan Karol patrzył strwożony na dynamometer łodzi, jak gdyby chciał czytać na nim, jak wielkiem jest niebezpieczeństwo. Od czasu do czasu tylko odrywał oczy, by wysłać trwożne spojrzenie w dół, na zmalały plac wystawy genewskiej. Ach wystawy widziane z tej wysokości! Wydają się być zabaweczką! Genewa wyglądała jak malutkie, odświętnie wystrojone miasteczko, przedzielone strumykiem na jedną symetrycznie, drugą nierówno zabudowaną połowę, zdobną w tysiące różnobarwnych domów o kopułach, wieżach, malowanych ścianach, stożkowatych lub piramidalnych dachach, bogato ozdobionych chorągwiami, ponad labiryntem ogrodów i parków, w których srebrzały fontanny i kaskady.

W tem wszystkiem — mrowisko maleńkich istotek, którzy wchodzili i wychodzili przez tysiączne bramy i tłoczyli się przez ulice na palec szerokie i przez plac jak dłoń duże.

Widziałem na moście tramwaj elektryczny. Co za drobiazg! Żółty robaczek uciekający po słomce ponad nicią wody!

Na krańcu zabudowań wystawowych widziałem coś wielkiego, w kształcie przekrojonego jaja — było to duże boisko gimnastyczne.

Najgłówniejsza część wystawy, zwana wioską szwajcarską, wydała mi się jakby wyjętą z za okna sklepowego — dziecię mogłoby wyciągnąć obie dłonie i bawić się nią. Na placu kościelnym wioski ruszało się coś czerwonego i białego — były to zapewne dziewczęta szwajcarskie, które przygotowywały się do tańców narodowych.

(Dok. nast.).



Ciekawy Antek.

Ogromna radość panowała w domku pana Mateusza. Twarze pana Mateusza i żony jego, które stale przez tak długi czas zdradzały niepokój i smutek, promieniały teraz radością, a dobry sąsiad Franek hulał po domu, przeskakiwał w przystępie zadowolenia krzesła i ławki, przewracał koziołki na łączce przed domkiem i co chwila podbiegał do Antka, by go uścisnąć i przypatrzeć mu się. — Antek wrócił ze szpitala po długiej i ciężkiej chorobie. Blady był jeszcze i osłabiony, ale siły wracały mu widocznie z każdym dniem i poznać można było, że w krótkim czasie zupełnie zdrowie odzyska. Franek nie posiadał się z radości, całymi dniami przesiadywał u przyjaciela, a nawet wobec pana Mateusza nabrał więcej śmiałości.

Pewnego wieczoru, gdy wszyscy razem siedzieli na ławce przed domem, odezwał się Franek:

— Nieprawdaż, gdy Antoś już zupełnie będzie zdrów, to pan nam dalej opowiadać będzie zaczętą przed chorobą jego historyę o tem dla czego wszyscy ludzie nie są sobie równi, tylko jedni są panami a drudzy biedakami.

Pan Mateusz zdziwił się ogromnie:

— To ty malcze pamiętasz jeszcze tę historyę i myślisz o niej?

— Czy pan sądził, że tylko tak na wiatr do nas mówi, jak do małych dzieci? — spytał Franek trochę dotknięty. — Mówił nam pan, że bywały czasy bardzo, bardzo odległe, w których ludzie uważali wszystko za wspólną swoją własność, ale wtedy mało jeszcze posiadali, bo mało przedmiotów zrobić sobie umieli. Dopiero z czasem, gdy poczęli wytwarzać rozmaite przedmioty, przywłaszczał sobie ten, kto je zrobił, to lub owo, co do jego osobistego użytku służyło: ubranie, ozdobę, siekierę i t. d. To było początkiem prywatnego posiadania. Potem mówił pan, że szczepy ludzkie poczynały walki ze sobą, brały niewolników i że to dało początek nierówności społecznej.

Pan Mateusz słuchając tego nie wychodził ze zdumienia.

— Ty umiesz myśleć chłopcze.

A potem zwrócił się do żony i szepnął z wyrazem zadowolenia:

— Co by nauczyciel w szkole dał za to, żeby jego nauk tak pamiętano jak moje!

Antoś podniósł oczy na ojca z prośbą:

— Nie czekaj tatusiu z dalszym ciągiem opowiadania, aż będę zupełnie zdrów, przecież mnie słuchanie nie męczy wcale. Przeciwnie, gdy siedzę bezczynnie, myślę mimowoli o chorobie i szpitalu, a mnie to przecież rozrywa i cieszy, gdy mogę słuchać twoich ciekawych opowiadań. Przypominam sobie, że mówiłeś, iż dawniej nie było złodziei, bo jeżeli sobie ktoś wziął cokolwiek czego potrzebował, to to nie nazywało się kradzieżą, bo mu to było wolno, bo wszystko do wszystkich należało.

— Ha! jeżeli wam to przyjemnie, opowiem wam zaraz dalej. Pamiętacie zapewne jak wam mówiłem, że rody ludzkie żyły gromadnie i wszy-

stko co posiadały, należało do całej gromady. Z czasem rozpadł się ród na poszczególne rodziny, te rodziny oddzieliły się w mieszkaniu, poczęły osobno mieszkać, osobne domki sobie stawiać, to były ich własne domki. Przedmioty niektóre, sprzęty domowe także były własnością prywatną rodziny. Rodziny poznawszy w ten sposób własność prywatną, która była im miłą, zapragnęły dostać i część pola gromadzkiego dla siebie. To dążenie urzeczywistniło się z czasem w ten sposób, że gromada rozdzieliła swoje pole na tyle części ile było rodzin i każdej rodzinie oddała część nie na własność, ale w posiadanie na rok. Cała rodzina wspólnie, tak jak pierwej wspólnie cała gromada, uprawiała tę część roli i żyła z jej plonów. Po dokonanych zbiorach wszystkie pola stawały się napowrót własnością gminy, a przed orką rozdzielano je na nowo i to w ten sposób, że rodziny nie dostawały co rok tego samego gruntu, ale przeciwnie, co roku inny grunt przypadał im w udziale. Żadna rodzina nie śmiała przywłaszczać sobie jakichkolwiek praw do zajmowanej przez siebie ziemi, nawet nie wolno jej było dowolnie uprawiać, siać tego lub owego, tylko wszyscy to siać musieli, co naczelnik gminy rozkazał, wszyscy o tej samej porze musieli w pole wyruszać i w przepisany sposób jednako pracować.

Naczelnikiem rodziny był ojciec rodziny, jego obowiązkiem było pilnować karności, jego staraniem było, by gminie oddać glebę w równie dobrym stanie w jakim go otrzymał. Miał on w rodzinie nieograniczoną władzę i musiano go bezwarunkowo słuchać, a on mógł członków swojej rodziny dowolnie karać. Taki sposób posiadania przechodziły wszystkie niemal społeczeństwa europejskie, a nawet dzisiaj istnieje on jeszcze w głębi Rosyi. Tam gmina wiejska, nazwana mir, rozdziela jeszcze rok rocznie gromadzką glebę między poszczególne, włościańskie rodziny, które uprawiają ją z ogromną karnością, zasiewają wtedy i tak i to co naczelnik gminy każe.

Ta forma posiadania i ten ustrój gminy jest ogromnie dogodnym dla rządów i państw, gdyż jest bardzo sprężysty i karny, a państwo bez kosztów i trudów wydaje swoje rozkazy i zmusza do wykonania ich przez naczelników gminy i ojców rodzin. Temu przypisać należy, że gmina taka w Rosyi przetrwała tak długie wieki.

Rodziny uprawiające glebę, przywiązywały się do niej — poczęły niechętnem okiem spoglądać na to, że ją co rok muszą oddawać i na inną wymieniać. Z czasem odraczały gminy nowe wymiary, nie czyniły ich co roku, ale co dwa, co trzy, a nawet co sześć i siedem lat. Ludność oczywiście wtedy przywiązywała się do tego gruntu coraz silniej i oddawała go coraz niechętniej, tem bardziej, że znała już własność prywatną, swoją i lubiła tę formę własności coraz bardziej. Każda rodzina posiadała bowiem dom, w którym była panem nieograniczonym. Na progu domu kończyła się władza gminy, państwa a nawet sądu. Nawet jeszcze w starożytnym Rzymie, jeżeli obywatel schronił się do domu, tc ani ścigać go tam, ani sądzić nie było wolno Stąd pochodzi nietykalność jaką miały kościoły w średnich wiekach. Kto schronił się do kościoła, ten był bezpiecznym, tam go władzy żadne' nie wolno było tknąć. Oczywiście tylko tak długo, póki przebywał w kościele.

Powstanie prywatnej własności i znaczenie ogromne jakie osiągła, stworzyło — kradzież Skoro ktoś potrzebujący wstąpił do cudzego domu i wziął rzecz jakąś — stawał się złodziejem. Z czasem powstawały koło domów prywatne ogródki, a podział gminnych pól odbywał się coraz rzadziej, tak że i grunta przemieniały się powoli w prywatną własność.

Równocześnie z powstaniem prywatnej własności na roli, utworzono granice, bożki graniczne, powstało pojęcie i w religii i w sądownictwie o świętości i nietykalności granic. Tego, ktoby ośmielił się naruszyć granice sąsiada i rozszerzyć w ten sposób własną posiadłość, straszyły religie karą boską w przyszłości, a sądy karały go ostro i doraźnie.

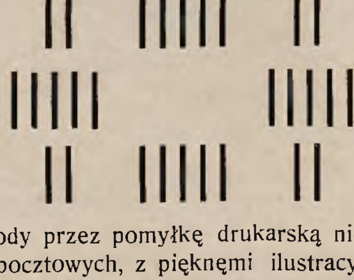
Odpowiedzi od Redakcyi.

Białej Lilijce we Lwowie: „Promyk" dziękuje Lilijce serdecznie za obszerny list i cieszy się, że Lilijka tak mile spędza wakacye.

Salo G. w Tarnopolu: Nie możemy wszystkich szarad odrazu umieścić, trzeba więc, żeby Salo cierpliwie czekał aż przyjdzie kolej na niego. Drugą szaradę uważamy za dużo lepszą od pierwszej, to też nmieścimy ją już w następnym numerze. Za adres serdecznie dziękujemy.

Przez omyłkę zapomnieliśmy napisać w ostatnim numerze, że cel z kogutem dostała Bronia H. z Kołomyi.

Rozwiązanie zagadki z Nr. 11.:



Nagrody przez pomyłkę drukarską nie ogłoszono, seryę kart pocztowych, z pięknęmi ilustracyami J. Kossaka do „Pieśni legionów" posyłamy Białej Lilijce we Lwowie.

Trafne rozwiązanie zagadek nadesłali:

Marcel S. z Zaleszczyk; „Różowa Różyczka“ z Krakowa; Matiasz G. z Przemyśla; „Biała Lilijka“ ze Lwowa i Salo G. z Tarnopola.

Zagadka obrazkowa.



Gdzie marynarz?

Kto rozwiąże powyższą zagadkę niech w liście do redakcyi opisze miejsce na obrazku, w którem znajduje się marynarz, np. napisze: w chmurach, na młynie, na drzewie, na wodzie i t. d.

Łamigłówka kryształowa

nadesłana przez Tosię S. ze Lwowa.



1) spółgłoska
2) przeciąg czasu
3) znadzek pocztowy
4) linie rysunku
5) ? ? ?
6) towarzysz rycerza
7) służy do wyrobu mydła
8) ściana
9) spółgłoska.

Figielek zagadkowy

nadesłany przez Olesia P. z Tarnopola.

Napisać **tysiąc**, pięcioma równemi cyframi.

Za rozwiązanie powyższych zagadek, przeznaczamy hamak ogrodowy.

Kącik dla małych dzieci.

Wiosna.

Kukułeczka w lesie kuka:
a kuku, a kuku!
Dzięcioł dzióbem w korę stuka:
a stuku, a stuku!
Lecą chrząszcze, brzęczą bąki:
wesoło, wesoło!
Pełne kwiatów pola, łąki
w około, w około!

Bąk.

Bzzzzzzn! Bzzzzzzn! huczał bąk po podłodze. Stał prawie na jednem miejscu i kręcił się równiutko.

To znów zaczął powoli tańcować w kółko. Kręcił się, kręcił, zrazu szybko, potem coraz to wolniej — aż wreszcie zaczął się kiwać niezgrabnie i... upadł, potoczył się w kąt, po podłodze.

— Nakręć bąka! — prosiła mała Zosia.

Franek owinął nóżkę bąka sznurkiem, włożył ją potem do drewnianej rączki, pociągnął szybko za koniec sznurka — bąk wyskoczył z rączki na podłogę i tam zaczął się kręcić.

— Nakręć, nakręć bąka! — prosiła Zosia, gdy bąk stanął znowu.

— Zaczekaj chwilkę, wezmę dłuższy sznurek, bo ten za krótki.

Chłopczyk przyniósł dłuższy sznurek i rzeczywiście bąk kręcił się dłużej.

Sznurek owija ciasno nóżkę bąka. Gdy się go szybko wyciągnie, sznurek rozwija się i bąk musi się kręcić, Potem, choć sznurka nie stanie, kręci się dalej sam od siebie bezwładnie czas jakiś. Sznurek pchnął go do ruchu.

Im dłuższy sznurek, tem dłużej bąk się kręci.

Zosia chciała wziąć bardzo, bardzo długi sznurek, na motku owinięty — ale Franek użyć go nie mógł, bo nie potrafiłby wyciągnąć jednym rzutem ręki takiego sznurka.

B.

Gniazdko.

Dzieci były na wsi. Siedząc razu pewnego koło domku w ogródku widziały, jak jaskółka chwyciła trochę błota do dzióbka i wyleciała z niem pod dach.

Dzieci bardzo były zaciekawione na co się jaskółeczce błoto przydać może, więc przypatrywały się uważnie. Jaskółka przyczepiła błoto do muru pod dachem. Potem zleciała znowu na drogę, znowu wzięła w dzióbek trochę błota, poleciała z niem pod dach i przyczepiła koło pierwszej kupki. Tak wracała ciągle, nabierała błoto i przyczepiała je do muru. Robiła to tyle razy, że dzieci narachować już nawet nie mogły. Gdy mamusia przywołała dzieci na kolacyę, wtedy kupka błota na murze pod dachem była już dosyć dużą.

Nazajutrz poszły dzieci raniutko do ogródka. Jaskółka była już przy robocie. Dalej znosiła sobie błoto. Znowu niezliczone razy przelatywała od muru na drogę i z drogi na mur. Dzieci poszły na obiad i wróciły. Aż nareszcie zdziwione zobaczyły, że jaskółka sama sobie ulepiła gniazdeczko. Jaskółka jest małym zwinnym ptaszkiem, ma czarne piórka na całem ciałku, tylko na piersi białe. — Dobry murarz z tej jaskółeczki — wołały dzieci.

U góry, tam gdzie gniazdeczko przyczepionem było do dachu, zostawiła jaskółka mały otwór niby drzwiczki do jej mieszkanka. Pomimo, że gniazdko już ulepiła, ciągle wracała jaskółka na drogę i coś po niej szukała. Raz włoski jakieś, to znów wełnę lub piórko z drogi do gniazdka zaniosła. Wyścielała tem gniazdeczko, ażeby było w niem miękko i ciepło. Potem zamieszkała jaskółka w tem gniazdku razem ze swojemi dziećmi, małymi jaskółkami, które jeszcze latać nie umiały. Jaskółka ciągle wylatywała z gniazdka. Szukała ona muszek rozmaitych, które przynosiła dzieciom swoim do gniazdka. Dzieci jaskółki otwierały szeroko dzióbki, gdy ich mamusia z muszką w dzióbku nadlatywała, a jaskółka kładła im muszki do dzióbka. Raz przynosiła jedzenie dla jednego dziecka, potem dla drugiego, potem dla trzeciego dopokąd wszystkich nie nakarmiła. Tak jaskółka karmi swoje małe dzieci, a gdy są już duże i silne, uczy je latać. Wnet małe jaskółeczki lecą tak dobrze, wysoko i zwinnie jak ich mamusia.

Wydawc. i odpow. redaktorka: Jadwiga Czajkowska. Drukarnia Udziałowa we Lwowie, ul. Kopernika 20.